



## Sprężenie zwrotne

Otwieram oczy.

Wszystko jest połączone; niemożliwe nie istnieje. Wskaźniki promieniowania w normie. Uruchamiam poranną diagnozę i przegląd mechanizmów - jednocześnie przetasowuję raporty ze świata, kronikę towarzyską i "Eklogi" Wirgiliusza. Zapisuję swój sen, zapamiętany w każdym szczególe. Zapominam o nim.

Gdzieś w tle, przez cały ten czas, przyjemne mruczenie adrenaliny. Jestem czysty - żadnych amfetamin, stymulantów, wszczepów. Sobie to zawdzięczam. Nie potrzeba mi wiele. Kilka głębokich wdechów, czysty tlen z respiratora - i już. Tak jak lubię. Znałem takich, którzy po wszczepach przez tydzień nie bali się niczego. Połowa z nich leży teraz w umieralniach, ze zwęglonymi mózgami, jak roślinki. Nie dla mnie.

Wolę to, co dzieje się bez niczyjej pomocy. Swobodny, niewymuszony ruch myśli. Dyktuję warunki. Oddechem odmierzam tempo. Bez paranoi i sztucznych obsesji. Od rana, i już (po latach treningu) bez wysiłku. Niemożliwe nie istnieje. Koan mogę znaleźć wszędzie: w raporcie o zagrożeniach powodziowych, w sprawozdaniu z analizy mechaniki, w "Eklogach". Koan to załączek, rytm, smak twoich myśli. Reszta dzieje się sama, jeśli tylko jej pozwolę.

Przyjmuję w siebie każdą myśl, nie wzbraniam się przed niczym, nie ufam uprzedzeniom - bo niemożliwe nie istnieje. Nie zatrzymuję żadnej myśli zbyt długo, pozwalam jej przepłynąć w drugą - bo wszystko jest połączone. Nie sądzę: mój koan jest równie prawdziwy jak jego zaprzeczenie. Przyglądam się myślom, jak pociskom zawieszonym w locie. Są nieuchwytnie. Są nieruchome. Są nieuchwytnie i nieruchome.

Najtrudniej było mi pogodzić się z tym, że tracę kontrolę. Na chwilę przed zaśnięciem bywa, że rozpędzone myśli biegną przed oczami - i można tylko obserwować, jak jedna przechodzi w drugą, bo zbyt wielkie już zmęczenie, by powstrzymać, przemyśleć myśl. To uczucie, rozciągnięte w długie minuty, godziny - dziwne było na początku. Teraz jest częścią tego doświadczenia. Twoja inercja przechodzi w moc: bo powstrzymać siebie było najtrudniej.

Teraz siedzę po turecku, oparty plecami o białą ścianę. Patrzę na plątaninę kabli, czuję, które z nich kończą się w nadgarstkach, które - pod potylicą. Oddycham. Za oknem śnieżna zamieć. Może już trzecią godzinę próbuję podyktować te kilka zdań; może już trzecią dobę śnieg hula po ciemnym mieście, a ja siedzę i myślę. To możliwe. Niemożliwe nie istnieje.

Oddycham. Czuję tętno. Myśl iskrzy, brzmi, przechodzi w kolejną - w następną - bezszelestnie - nieruchomo - błyskawicznie. Widzę je, każdą z osobna, wszystkie naraz. Nie kończą się. Nie kończę się: tyle samo napięcia i spokoju jest we mnie i w przewodach. Myśl ta sama. Oddychamy. Wszystko jest połączone.

Otwierają mi się oczy.

Coś jest bardzo cholernie źle. Coś jest... bardzo źle. Odruchowo diagnoza i przegląd, odruchowo raporty o szczelności, historia skoków napięcia, promieniowanie - chociaż już czuję, że to coś innego. Prostuję zdrętwiałe nogi, przetaczam się pod okno. Zamieć wciąż. Która jest? Jaki dzień? Ile...?

Gapię się tępym wzrokiem na wyniki analiz. OK. OK. OK. Nie jest OK. Jest bardzo cholernie źle. Tylko nie wiem co. To bez sensu, ale macam dłonią po potylicy, sprawdzam przewody. Jeden po drugim. Włącza się alarm: przyspieszone tętno i oddech. Uspokoić się. Tylko że alarm brzęczy. Wkurza. Siadam pod ścianą, wtulam głowę w kolana, dyszę. Sapię. Chrząkam. Wstaję i idę do toalety.

Wracam, siadam. Już spokojnie. Ale ciągle coś bardzo cholernie źle. W brzuchu pusto. Niepokój. Końce palców - żywe, nadrucliwe. I myśli jakieś takie nieposkładane. Próbuję uspokoić. Pozbierać się. Nie wychodzi. Zbyt dużo rzeczy rozprasza, zbyt wielki szum. Co chwila brzęczy alarm, że tętno, że oddech płytki. Więc ja się jeszcze bardziej wkurzam na brzęczenie. Zamota.

Siadam i jem. Może to przez to. Gapię się przez okno, żując. Zasypane ulice. Śnieg poorany gąsienicami. Ślady ciężkich butów. Niebo koloru (a jakże) rozstrojonej telewizji. Zjadłem. Nie pomaga. Ciągłe myśli rozwalone, Ground Zero w mózgu: kawałki, strzępy. Nic nie jest połączone.

Panika. Loguję się i przeszukuję zasoby. Chcę diagnozy. Poprawy chcę! Ale nic. Jakby kac, ale przecież jestem czysty. Jakby depresja, ale nie było symptomów. Jakby paranoja. Pogadać z kimś. Piszę memo, jedną wiadomość za drugą. Nie potrafię się wystawić. Nikt nie odpowiada. Łażę i czekam na odpowiedź. Nikt nie odpowiada. Może środek nocy jest? Śpią wszyscy? Może wyjechali, bo alarm, bo zamieszki, bo wojna, a ja przegłamałem.

Siadam w końcu pod ścianą i płaczę... Brzęczyk szaleje, rzucam w niego czymś i pęka. To wszystko popieprzone, to wszystko niemożliwe...

Dzwonek do drzwi. Otwieram oczy. Otwieram.

- Przesyłka dla pana. Kartę ID proszę wyczytać. Tu, o. Dziękuję.
- Dziękuję - idę do pokoju, odpakowuję folię bąbelkową. Terminal. Podłączam, wybiera numer automatycznie. Na ekranie pojawia się logo, a chwilę potem przed kamerą siada jakiś facet. Ubrany w dobry garnitur. Uśmiecha się dobrodusznie, pochyla lekko do przodu.
- Jakże się pan miewa dzisiaj?
- Bywało lepiej - stękam. On kiwa głową, wzdycha.
- Oj, wiemy.

Otwieram oczy.

Przybyło trochę rzeczy. Instrukcje przeczytane. Wszystko jasne. Facet w garniturze powiedział, co mógł. To, czego nie mógł powiedzieć, pokazał.

Widziałem, jak łatwo pozbawić ludzi wszystkiego. Widziałem ludzi dumnych i pięknych, którzy w ułamku sekundy głupieją, ślinią się, trzęsą ze strachu - jak moi znajomi w umieralniach. Ich oczy, wcześniej spokojne i przenikliwe, później rozbiegane i zamglone. Ich ruchy, myśli, oddech - poszatkowane. Wielka, dymiąca dziura w głowie. Mały, rozwrzeszczany człowiek w dymiącej dziurze. Jak ciężko wtedy usiąść spokojnie - jak ciężko poskładać w całość doznania.

Widziałem setki oczu wpatrzonych we mnie - skanujących dyskretnie, czekających. Moja energia przyciągała ich. Ich myśli owijały się wokół mnie powoli, delikatnie wyczuwały słabe punkty (byłem jednym wielkim słabym punktem), w końcu - szybko i boleśnie - wtargnęły do środka.

- Dlaczego pan myślał, że jest bezpieczny? Dlaczego sądził pan, że nikt go nie widzi? Wszyscy patrzą. Pan jest częścią tego wszystkiego. Wszystko jest połączone. To będzie się powtarzać, bo poznali się na panu. Proszę się bronić. Proszę kontratakować. W pana własnym interesie, doprawdy.

Sprzęt przetestowany. Mechanika bez zarzutu. Diagnoza w normie. Sporo jeszcze we mnie złości, ale poradzę sobie. Oddycham.

Otwieram oczy, bębny się kręcą, auto-attacker warczy, iskrzy, wypluwa serię liczb. Patrzą na ekran. To ten, co poprzednio. Facet w garniaku przewidział to: "z reguły wracają, bo myślą, że tu łatwo się obłowić". Widzę, jak nonszalancko próbuje się wedrzeć. Trafia na zaporę, dostaje serię z auto-attackera. Staje jak wryty. Przez chwilę jest cicho.

Skan. Jakiś szczawik z Hondurasu. Nigdy nie byłem w Hondurasie. Wycofuje się powoli, ale jeszcze przez chwilę jest w zasięgu. Nie mam zamiaru odpuścić. Łykam tlenu z respiratora, włączam liczydła, dobieram się do jego zapory. Wszystko jest połączone, niemożliwe nie istnieje...